

## Koronki nieco przybrudzone

Ostatni koncert symfoniczny Białostockiej Filharmonii, mimo kilku niesprzyjających okoliczności, można uważać za udany. Wystąpił w nim skrzypek **Stefan Czermak** i orkiestra symfoniczna naszej Filharmonii pod dyrekcją **Zbigniewa Szablewskiego**. Pierwszą niesprzyjającą okolicznością było nagłe zastępstwo zaanonsowanej afiszami Beaty Halskiej; zastępstwa tego podjął się w ostatniej chwili właśnie Stefan Czermak, jak się okazało, z powodzeniem. Nie można i góry zakładać, iż Halska wykonałaby *Koncert* gorzej czy lepiej, lecz fakt przyjęcia nagłej propozycji, i wykonanie wielkiego dzieła Czajkowskiego po jednej tylko próbie, był aktem odwagi ze strony solisty, a przede wszystkim dyrygenta. Kiedy już mówimy o zamianie solistów, warto na marginesie zauważyć, iż o Beacie Halskiej dotąd nic nie wiem, natomiast Stefan Czermak jest laureatem międzynarodowych konkursów skrzypcowych w Poznaniu i Lizbonie. W Białymstoku grał dopiero drugi raz (przed trzema laty wystąpił z *Koncertem A-dur* Mozarta).

*Koncert skrzypcowy* Piotra Czajkowskiego jest może mniej popularny od słynnego *Koncertu fortepianowego b-moll*, w Białymstoku miał jednak większe szczęście. Melomani pamiętają zapewne interpretacją Kai Danczowskiej, a na pewno wykonanie Konstantego Andrzeja Kulki z września ubiegłego roku. Powtórne włączenie go do repertuaru tego samego sezonu — po mistrzowskiej kreacji naszej największej sławy wiolinistycznej — nie stawiało Czermaka na pozycji dogodnej, zważywszy owe nagłe zastępstwo i jedyną próbą. Współdziałanie orkiestry z solistą w tym utworze naznaczone jest niejedną pułapką, czyhającą szczególnie na dyrygenta. Zbigniew Szablewski prowadził orkiestrą pewną ręką znając widać dokładnie wszystkie niebezpieczeństwa, zwłaszcza w ostatniej części partytury, gdzie kapryśna, agogika zawsze zagraża pełnej synchronizacji solisty i orkiestry.

Dzięki zdyscyplinowaniu orkiestry i pewności jej dyrygenta, Stefan Czermak mógł wyzbyć się wszelkich obaw co do losu swego niespodziewanego występu w Białymstoku. Wszakże resztki wątpliwości rozwiąły się chyba dopiero w reprzyzie części pierwszej; od tego momentu gra jego nabrała odpowiedniej temperatury i barwy. Ten długi okres wciągania się w klimat muzyki Czajkowskiego wynikał, jak sądzę, także z możliwości brzmieniowych naszej orkiestry, z niemożności osiągnięcia właściwych proporcji dynamicznych między grupą smyczkową a dętą i ograniczeń modelowania dynamiki, a to z kolei uwarunkowane jest zbyt szczupłą obsadą kwintetu. Obecnie orkiestra symfoniczna Filharmonii Białostockiej dysponuje zaledwie 11 skrzypkami, a z pięciu zatrudnionych wiolonczelistek, na koncercie grały cztery; strach pomyśleć, co by się stało, gdyby te panie zatęskniły za macierzyństwem... Taki kwintet nie może zapewnić dobrego brzmienia symfonicznej muzyce Czajkowskiego i w ogóle muzyce symfonicznej od romantyzmu poczynając, gdzie podstawowym rysem stylistycznym jest odpowiedni wolumen dźwięku. Dlatego i sam von Karajan nie wydobylby pełni brzmienia w partiach tutti, nie ożywiłby mdłych napięć dynamicznych tam, gdzie nie ma po prostu z czego zrobić crescendo.

Oprócz uwarunkowań obiektywnych kilka skaz tej interpretacji było natury subiektywnej. I tak skrzypkowi soliście zarzuciłbym kilka odchyłeń intonacyjnych i nieładne, zadrapane flazolety w kadencji części pierwszej, a grupie instrumentów dętych drewnianych, którą ostatnio chwaliłem, nieprecyzyjne zestrojenie na początku i końcu *Canzonetty*. W sumie jednak, pomimo wszystkich przeszkód, było to wykonanie dobre i mogło się podobać. Stefan Czermak okazał się skrzypkiem o wielkich możliwościach wirtuozowskich, dysponującym szlachetnym dźwiękiem i interesująco formułującym muzyczną treść *Koncertu skrzypcowego* Czajkowskiego. Nie od rzeczy będzie na koniec przypomnienie, iż wiosnie przed stu laty odbyło się prawykonanie tego *Koncertu*, co warto było zauważyć w omówieniu programowym.

"Kryzysowy" skład instrumentów smyczkowych jak najbardziej natomiast przylega do osiemnastowiecznej praktyki wykonawczej; zatem ostatnia symfonia Mozarta, tzw. "*Jowiszowa*" mogła i w naszej Filharmonii uzyskać właściwą oprawą brzmieniową. Od razu trzeba stwierdzić, iż Zbigniew Szablewski stanął na wysokości zadania, nadając muzyce Mozarta proporcje brzmieniowe zgodne z credo samego kompozytora, który twierdził, iż muzyka podobnie jak namiętność, jakkolwiek by była gwałtowna, nie powinna nigdy obrażać ucha, ale zawsze je urzekać. Nie przejął się zatem zbyt dodanym (po śmierci Mozarta) przydomkiem "*Jowiszowa*" i nie wymagał forsowania dynamiki, aby za wszelką ceną ową jowiszowość uzyskać w głównym temacie czy też w kulminacjach. W rezultacie *Symfonia C-dur* KV 551 uzyskała bardziej

harmonijne proporcje brzmieniowe, niż to się słyszy w interpretacji innych dyrygentów, ale nie pomniejszyło to bynajmniej jej charakterystycznych smaczków i uroczystego charakteru. Szczególnie mógł się podobać *Menuet*, dla swej czystości stylistycznej i wspaniały, słynny *Final* tryskający wigorem i budzący szacunek dla mistrzostwa kompozytorskiego. Filharmonicy białostoccy poradzili sobie bez trudu z wszystkimi kontrapunktycznymi krzyżówkami, przejrzyście przedstawiając przenikające się nawzajem tematy, w czym większa zasługa flecisty i fagocisty (bardzo precyzyjne artykulacyjnie eksponowanie drugiego tematu), niż grupy smyczkowej, której wszelako nie dostawało precyzji. Ogólnie dobre wrażenie mąciły jednak dosyć częste niedokładności intonacyjne skrzypiec, szczególnie rażące w partiach unisonowych i bardzo przykre w muzyce Mozarta — tak jak rażące są misterne białe koronki, ale nie dość czyste. Tej cechy gry nie poprawi się z koncertu na koncert; wymaga to czasu i systematycznej pracy pod określonym kątem. A kiedy przyjdą rezultaty, wówczas przynajmniej połowa foteli, nie tak wielkiej przecież sali, zawsze powinna być zajęta. Na ostatnim koncercie sala świeciła pustkami. I to jut ostatnia okoliczność mącająca ogólnie pozytywną oceną koncertu białostockich filharmoników.

**STANISŁAW OLĘDZKI**